

# Edward Balcerzan

---

## Małgorzata Braunek i Claude Lévi-Strauss

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (7), 1-8

---

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet  
Nauk  
o  
Literaturze Polskiej  
i  
Instytut  
Badań  
Literackich PAN

dwumiesięcznik 1, 1973

# teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

## Małgorzata Braunek i Claude Lévi-Strauss

*Kiedy przed paru laty oglądałem «Polowanie na muchy» Andrzeja Wajdy, pomyślałem w pewnym momencie, że ten film — jako dzieło sztuki — jest dla mnie stracony. Nie będę mógł dalej podlegać woli autora ani rekonstruować poprawnie sensów tekstu. Andrzej Wajda opowiada w swej komedii o studentce polonistyki warszawskiej. Opisuje wnętrze jej mieszkania. Ma to być mieszkanie dziewczyny «nowoczesnej». Stroje, łóżko, ozdóbki, meble, sposób ustawienia mebli, wszystko to nie wystarcza do ukazania postaci, rysuje jej wizerunek nieostro; reżyserowi potrzebny jest jakiś wyrazisty znak «nowoczesności». Coś autentycznie awangardowego. Może książka? Tak, książka — Małgorzata Braunek, utalentowana odtwórczyni jednej z głównych ról w tym filmie, znajduje w pościeli książkę, odczytuje głośno jej tytuł «Antropologia strukturalna»; mówi jeszcze z uśmiechem: ja z nią śpię.*

— *Jeśli ty Lévi-Straussa znasz w oryginale... — pomyślałem z najwyższym uznaniem; film kręcono w latach, kiedy nie mieliśmy jeszcze polskiego przekładu tej pracy. Od tej sceny, od tego momentu poczułem do bohaterki «Polowania na muchy» nieklamana sympatię.*

*Wszystkie następne sekwencje filmu Wajdy układały się w mej świadomości w opowieść nie o tym, co chciał przedstawić reżyser, lecz*

o tym, co budowało się i olbrzymiało — samowładnie — «gdzieś» poza ekranem. Rzec by można, iż «kręciłem» w wyobraźni drugi film, o zgrozo, film «produkcyjny» z życia uniwersytetu. Rozumiałem, rzecz jasna, iż epizod z egzemplarzem «Anthropologie structurale» w łóżku młodej polonistki to dowcip (średniej klasy), adresowany do publiczności czytającej prasę kulturalną. Pisało się wówczas sporo o modzie na strukturalizm i publiczność mogła się oto upewnić, iż taka moda szerzy się wśród młodych ludzi rzeczywiście. (Gdyby akcja «Polowania na muchy» rozgrywała się u schyłku lat pięćdziesiątych, pod puszystą kołdrą bohaterki leżałby zapewne «francuski» numer «Twórczości» z esejem Jean-Paul Sartre'a.) Rozumiałem żart Wajdy, a mimo to w samym fakcie, że ktoś studiuje dzieło Lévi-Straussa, nie mogłem się doszukać bodaj okruczeństwa komizmu. Po tej scenie, tak ładnie zagranej przez Braunek, wybaczyłem upartej intelektualistce i wybaczałem dalej — do końca filmu, całe zło, jakie wyrządza swym ofiarom. Swoim «muchom». Intencje autora ulegały wielorakim deformacjom, wykrzywiały się w zetknięciu z doświadczeniami — i kompleksami — mojego zawodu. Wajda ukazywał swoją bohaterkę w barwach coraz silniej wystudzonych, aż lodowatych, jak gdyby zamierzał przeświecić chorą osobowość, którą pożarły koszmarnie struktury i strukturalizmy, ale ja nie wierzyłem Wajdzie.

Czy to możliwe, myślałem, że oni na polonistyce warszawskiej mają w spisie lektur Lévi-Straussa? I mają studentów tak żarliwie zajmujących się poznaniem doktryn nowej humanistyki? Dręczyła mnie gorzka zawiść. Nękały wyrzuty sumienia. Czy my, w Poznaniu, nie stawiamy studentom zbyt skromnych wymagań? Jakie książki leżą teraz w ich łóżkach, pod poduszkami, na nocnych stolikach, w pokojach gmachu na ulicy Obornickiej, w kwaterach prywatnych na Grunwaldzie, Wildzie i Ratajach? Z czym śpią, z czym się budzą?

Zacząłem układać w myślach tekst przemówienia, jakie postanowiłem wygłosić przy najbliższej sposobności, na wykładzie, na ćwiczeniach, do «moich» studentów.

(—Proszę państwa! radzę obejrzeć komedię Wajdy; moralność bohaterki możecie oczywiście oceniać tak czy owak, nie wkraczam w te sprawy, zwróćcie jednak uwagę na pewien drobny detal: co czyta. Jaką książkę czyta ta studentka polonistyki. I proszę państwa: byłoby nam wszystkim przykro, gdyby się miało okazać, że słuchacz naszego wydziału tak skutecznie wywalczył dla siebie wszelkie ulgi

*i przywileje nieczytania, iż nie potrafiłby nawet podjąć rzeczowej rozmowy na tematy humanistyczne z koleżanką z innej uczelni...)* Moje zatroskanie było aż nadto prywatne, rzecz by należało: zbyt specjalistyczne — obce w tym solidarnym świecie przeżycia zbiorowego, jakie rodzi wspólnie oglądany film. Traciłem kontakt nie tylko z tekstem Wajdy, ale i z sąsiadami z prawa i z lewa, z widownią. Pomyslałem, że pracuję w zawodzie — jakby — niewidocznym, o którym «wie się» bardzo mało, który jest w świadomości ogółu sportretowany źle. Znacznie gorzej niż inne, pokrewne zawody. Grubą krechą, bez półcieni, płasko.

Wiedzę o życiu wewnętrznym społeczności uniwersyteckiej magazynują skrętnie takie gatunki, jak powieść kryminalna, anegdota środowiskowa, wspomnienie pośmiertne. Reprezentują one twórczość ulotną i ekstremalnie tendencyjną. (Oś wyboru i oś kombinacji są w nich wyskalowane tak, by z góry ograniczyć typ oraz ilość powiadomień.)

Autor opowieści sensacyjnej chętnie przedstawia ciemne strony egzystencji «sfer» akademickich. Interesują go przede wszystkim uwikłania pracy naukowej w splot stereotypowych motywów działania przestępczego. Zawiaść, sława, pieniądze, tajemnicza broń, która może dać władzę nad światem. Genialny uczonek — ofiara kliku gangsterskiej lub utajony sprawca zbrodni — jest najczęściej wynalazcą: fizykiem, bakteriologiem, konstruktorem. Owszem, w świecie powieściowym «kryminatu» może działać także filolog, pod warunkiem jednak, że nie będzie się zajmował czystą teorią, np. synchronią i diachronią, lecz potrafi swe umiejętności «przekuć na złoto»; powiedzmy, że uda mu się rozszyfrować starodawny manuskrypt, który wskaże miejsce ukrycia legendarnego skarbu różokrzyżowców. Bohaterem romansu detektywistycznego, osadzonego w środowisku naukowym, bywa zwykle ten sam typ człowieka. (Znany także z dowcipnych narracji «o profesorach», które konkurują z innymi cyklami dykteryjek «o» — o psychiatrach, rogowcach, kapralach, strasznych dzieciach czy proboszczach.) Krótkowzroczny, infantylny, kostyczny, zasuszony w swej personie wykładowcy i badacza. Roztargniony, wyrzucony poza rwący potok życia społecznego, szary od pyłu bibliotek. Samolubny, przykry, o osobowości zredukowanej do jakiejś jednej-jedynej obsesji. Podczas gdy poczynania nauczycieli akademickich, butnych profesorów i zawistnych adiunktów, są w tym gatunku całkowicie zdeterminowane przez pozycję społeczną

i rodzaj talentu badawczego — wizerunek studenta, odwrotnie, jest z reguły słabo nasycony swoistością «tego, co studenckie». W akcji opowieści sensacyjno-kryminalnej «student» to po prostu «młody człowiek»; nie tyle przyszły chemik, weterynarz, romanista, ile «dziecię natury», osobowość pełna sił witalnych, radosny produkt natury.

Nieporównanie ciekawszy materiał zawierają anegdoty środowiskowe. Lwia część anegdot obługuje jednak interesy małych grup, do-raznie ukonstytuowanych, złączonych — na krótko — jakimś wspólnym celem, np. uporania się z egzaminami aktualnej sesji. Anegdota projektuje styl gry, daje pewien system orientacji, funkcjonuje jako partytura uczestnika zajęć czy człowieka egzaminowanego. Zawiera wskazówki aktorskie — niekiedy nader szczegółowe. Mówić cicho czy głośno, siadać w pierwszym czy w ostatnim rzędzie, uśmiechać się beztrąsko czy pochlipywać w sytuacji awaryjnej, przywdziać strój wieczorowy czy może dzinsy i golf. Jest jakby epitetem rozbudowanym w obraz. Na pytanie: «jak się u niego, lub u niej, zdaje?» można odpowiadać ogólnikowo, że zdaje się łatwo albo trudno, fantastycznie albo beznadziejnie, bombowo albo fatalnie itp. Pożytek z takich instrukcji jest przecież niewielki. O ileż więcej praktycznych korzyści daje konkretny przykład, który trafnie ilustruje epitet, pozwala unaocznic ową bajeczną łatwość lub porażającą beznadzieję walki z egzaminatorem.

(To było tak: zdawał Maryś, szło mu średnio, nagle słyszy: jakie pan zna dramaty Słowackiego? Maryś zbladł, ale twardo wylicza: «Kordian», «Mazepa», «Balladyna», «Fantazy», rany boskie, co tam jeszcze, aha, «Złota czaszka», i wtedy profesor mu przerwał: ależ proszę pana, nie tak szczegółowo!)

Anegdota-partytura w tym większej jest cenie, im pewniejszą daje gwarancję sukcesu. Im bardziej się może «opłacić». Egzotyka obyczajowości uczelnianej, wpisana w serię studenckich anegdot, prędko też ulega zapomnieniu. Z chwilą, gdy przestaje pomagać w załatwianiu interesów życiowych, kruszeje, rozprasza się, znika. W każdym razie — nie wychodzi poza wąski krąg użytkowników. Tu gatunek anegdoty występuje w postaci najczystszej, zgodnie z etymologią nazwy «anékdotos», czyli «nie opublikowany, nie ogłoszony». Cechą wspólną anegdoty środowiskowej i prozy detektywistycznej jest to, iż ukazują one współzycie młodzieży studiującej i jej wychowawców w klimacie ustawicznego antagonizmu, przy czym postać

wychowawcy spełnia tutaj jedną funkcję — jest wieczną przeszkodą, którą należy pokonać lub obejść fortelem: niekiedy okazuje się przeszkodą pozorną, rozładowuje napięcie, uśmierza lęk («nie taki diabeł straszny»); bitwa się nie odbędzie, stwierdza uspokojony student, jak żołnierz armii generała Kocmołuchowicza, ale bitwa z profesorem miała się odbyć, była wprojektowana w układ, należała do systemu gry. Wspomnienie pośmiertne, odwrotnie, rozbraja ten stereotyp, unosi się niejako ponad codziennością «najeżoną» konfliktami, rozświetla krajobrazy arkadyjskie: opowiada o nauczycielu, który był przede wszystkim mistrzem i przyjacielem, służył radą i pomocą, umiał uszanować bezbrzeżne żywioły młodości, sam przez młodych podopiecznych szanowany.

Wspomnieć by jeszcze można o publicystyce poświęconej dydaktyce uniwersyteckiej. Nie wiem, jak reaguje na nią młodzież — wśród pracowników dydaktycznych rodzi zwykle stany depresyjne, stawia bowiem takie wymagania, które są teoretycznie słuszne, ale nie mieszczą się zwykle w polu możliwości czysto biologicznych jednego człowieka. Apele publicystów reprezentują bardzo ciekawy gatunek — są zamaskowaną, afabularną odmianą «science fiction». Autor noweli fantastyczno-naukowej zakłada, iż w jakiejś strefie Kosmosu natura ukształtowała się w sposób przedziwny, jakkolwiek prawdopodobny z punktu widzenia własnej «gramatyki», np. stworzyła ptaki, które mogą fruwać w glebie, głęboko pod trawą, lub ufundowała zbiorowości istot żywych aż pięć płci odmiennych miast dwóch. Publicysta zajmujący się dydaktyką szkoły wyższej postępuje podobnie, choć przecież mówi o obywatelach Ziemi. Aby zrealizować jego postulaty, trzeba mieć pamięć komputera, energię hydroelektrowni, być obdarzonym umiejętnością przeistaczania się w tłum — o liczebności plutonu piechoty — i utrzymywać się przy życiu bez snu i posiłków, na które nie powinno się już tracić czasu.

Skąpa wiedza o realiach życia akademickiego nie jest oczywiście wiedzą całkowicie kłamliwą, przeciwnie, każda ze wspomnianych tutaj form zapisu wydobywa jakąś c z ę ś ć prawdy o nas, o ludziach pracujących w «murach» szkoły wyższej. Coś w tym jest, coś się ocala od zapomnienia. Mimo to jednak członkowie społeczności uczelnianej — od studenta pierwszego roku do seniora kadry profesorskiej — muszą, jak sądzę, uświadamiać sobie ową nadto już uproszczoną schematyczność cudzych mniemań — konserwatyzm cudzej mitologii. W istocie: uczelnia oglądana z zewnątrz wydaje się strukturą sta-

tyczną, zwłaszcza skostniałą w swojej dwudzielnosci, w przepolowie-  
niu na dwa swiaty: nauczanych i nauczajacych (mlodych i starych).  
Tymczasem uczestnikowi tego wielopokoleniowego kolektywu na-  
rzuca się — z nieodpartą silą — niekończącą się przemienność ukła-  
dów, które go determinują. Z roku na rok zmienia się nieomal wszyst-  
ko. Idzie n o w e; przeszłość sprzed trzech miesięcy, sprzed wakacji,  
już się nie liczy. Wkracza nowy rocznik. Nowy styl bycia młodzieży.  
Jej nowe bogi i nowe wartości. (Nowa moda także: inne barwy, inne  
intonacje, inny język gestyczny, inny typ aktorstwa.) Nowe publika-  
cje, nowe spisy lektur, nowa problematyka wykładów i ćwiczeń. Sta-  
żyści, awanse, korekty (w tytulaturze naukowej i funkcyjnej); nowe  
konfiguracje uzależnień i podporządkowań; raz po raz czyjeś poraż-  
ki, kompromitacje, odejścia. Nowe rozporządzenia. I nowe drogi ob-  
chodzenia kłopotliwych rozporządzeń. Nowa siatka zajęć, która ozna-  
cza nowe rozpoznanie własnej sytuacji w nowych relacjach osobo-  
wych. Inne grupy, inne twarze, inne więzi koleżeńskie.

Plan zajęć, głównie wśród pracowników dydaktycznych, organizuje  
nowy system kontaktów prywatnych; w ściśle sformalizowanej  
strukturze instytutu czy wydziału rodzi substruktury nieformalne.  
Z jednej strony osoby widujące się co tydzień, które w przerwach  
między zajęciami, podczas dyżurów — mogą się wzajem informować  
o aktualnych wydarzeniach, wymieniać poglądy, uzgadniać reguły  
takich czy innych przedsięwzięć itd. Z drugiej strony ludzie — nagle  
— odizolowani od siebie, których zajęcia «mijają się» w czasie, któ-  
rzy tracą bezpośredni kontakt, oddalają się od siebie, stają się sobie  
obcy. Na rok. Jeszcze istotniejsze przeobrażenie całego układu odby-  
wa się, za sprawą siatki zajęć, między uczącymi a nauczanymi. Pra-  
cownik naukowy, który przekazuje «swoją» grupę koledze, będzie  
miał zawsze podejrzenie, iż to, czego nauczył studentów, rozproszy  
się w obcych rękach, a nawet, przy jawnej rozbieżności postaw me-  
tologicznych, zostanie z premedytacją zatarte przez następcę.  
Z kolei nowy kierownik grupy ćwiczeniowej będzie zawsze — choć-  
by nieświadomie — pojmował swoją pracę dydaktyczną jako wypeł-  
nianie luk, które zostały «po kimś» w świadomości młodych czelad-  
ników wiedzy naukowej; będzie notował w pamięci, czego to młodzi  
nie wiedzą, o czym nie słyszeli, w czym się gubią, co karygodnie za-  
niedbał poprzednik.

Zapewne, w grze dydaktycznej dużą rolę odgrywa pamięć wydarzeń  
minionych. Każdy z nas jest w pewien sposób «oznakowany» przez

przeszłość. Ma swoją legendę, swoje epitety. I pedagog, i student. Leniwy, mądry, kapryśny, nieobliczalny, elokwentny, dowcipny, przebiegły, trudny, spolegliwy, ospały, zajadły. Są to jednak znaki nietrwałe, opinie niepewne i tymczasowe, poddawane ustawicznemu rewizjom. Ani autorytet, ani wiek i staż, ani pozycja w hierarchii uczelnianej nie są, by tak rzec, paradygmatami stabilnymi; przeciwnie, ten sam obywatel świata akademickiego — w tym samym czasie — istnieje na prawach «tekstu», który ma wiele odczytań i «zbiera» wszelkie możliwe oceny. Często opinię kształtuje przypadek. Drobnym gestem, błahą na pozór decyzją, słowem, którego się nie pamięta, mogą nagle zamrozić współżycie nauczyciela i zespołu studenckiego, albo odwrotnie, unieważnić wszystkie wcześniejsze urazy. Praca z młodzieżą studiującą nigdy nie powinna być interpretowana tylko i wyłącznie jako «praca». To się zazwyczaj nie udaje. Młodzież od razu «przekłada» zachowanie się jej opiekunów na język emocjonalny, dzieli pracowników dydaktycznych na «lubianych» i «nie-lubianych», ale znów: sympatie i antypatie indywidualizują się natychmiast, jest się tedy «nie-lubianym» i «lubianym» jednocześnie. To oczywiste, że uczestnik społeczności uczelnianej wie o swoim świecie więcej niż przygodny obserwator — osobliwością bytowania w owej społeczności wydaje się przecież to, iż członek kolektywu uniwersyteckiego wie zarazem o swym świecie *m n i e j* niż osoby postronne. Nadmiar informacji przeobraża się w jej niedostatek. Cele działań dydaktycznych są jasne — skutki okazują się irracjonalne. Łatwo stwierdzić stopień nasycenia wiedzą absolwenta szkoły wyższej — nie sposób ustalić, zwłaszcza w uczelni typu humanistycznego, co się z ową wiedzą dzieje dalej, czym ona jest w strukturze osobowości wychowanka, a nawet, czy rzeczywiście dany człowiek jest naszym wychowankiem — czy naprawdę wychowała go właśnie uczelnia.

Dotykam sprawy drażliwej. Interpretacja oficjalna głosi, i nie może głosić inaczej, iż szkoła wyższa jest instytucją wychowawczą. W interpretacji «szeptanej», odwrotnie, wychowawczy charakter uniwersytetu bywa kwestionowany. (Ludzie dorośli, niewiele młodszy od najmłodszych pracowników dydaktycznych, ukształtowani wcześniej i gdzie indziej: w szkole, w domu, w społeczeństwie «jako takim».) Prawda, i tym razem, leży między tymi dwiema skrajnościami. Szkoła wyższa wychowuje na pewno. Ale wychowuje człowieka w jednej tylko roli społecznej. Właśnie — w r o l i s t u d e n t a. Tu potrafi



działać konsekwentnie. Całe zaś obszary «prywatności» życia młodego człowieka pozostają poza kontrolą uczelni — dopóty, dopóki nie przeszkadzają w spełnianiu powinności studenckich. Nauczyciel akademicki wkracza w sprawy prywatne młodzieży niechętnie. Niechętnie i bez zaufania. Dobrze wie, iż student staje się skłonny do zwierzeń wtedy, gdy prosi o usprawiedliwienie takich czy innych zaniedbań. Życie prywatne studenta, opowiedziane opiekunowi, wydaje się zawsze jakby «załącznikiem» do podania o urlop dziekański, ratunkiem przed oceną niedostateczną, formą działań samoobronnych. Dlatego nauczyciel usiłuje «wrzucić» swojego rozmówcę do roli podstawowej — ograniczyć go w tej roli. Sprowadzić dialog na grunt wiedzy naukowej. Kosztem niewiedzy o człowieku, z którym pracuje w ciągu pięciu lat. Zwykle też podejrzewa, iż student nie jest studentem w stopniu dostatecznie intensywnym, że za murami uczelni gubi momentalnie swą «studenckość», staje się kimś innym. Kimś obcym.

(Oglądając film *Wajdy* układałem w myślach przemówienie, które postanowiłem wygłosić przy najbliższej sposobności: na wykładzie, na ćwiczeniach, na zebraniu Koła Polonistów. — Proszę państwa! nie będę oceniał sylwetki moralnej bohaterki tej komedii, to mnie zresztą teraz nie interesuje, powiem jedno: jest na pewno dobrą studentką, jaką chciałoby się mieć na zajęciach w każdej grupie.)

Edward Balcerzan